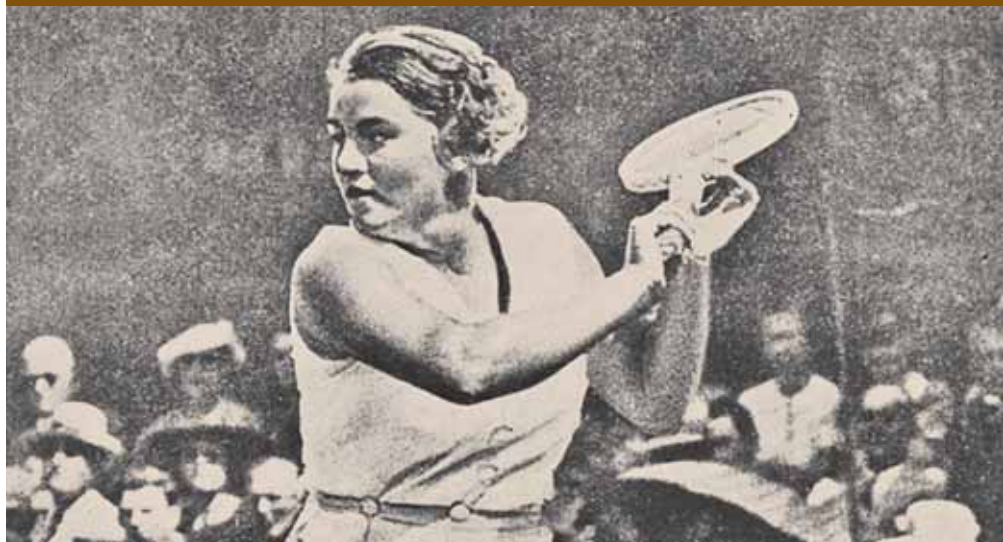


{4} 1921-2006

Jadwiga Jędrzejowska - mogłaby być bohaterką rocznika PZLT „Tenis po polsku 1937”



SŁOWA I CZYNY

{ Jakub Kowalski }

Na początku było słowo, drukowane oczywiście. W 1883 roku w „Kurierze Warszawskim” pojawiło się znamienne ogłoszenie: „Najlepszy środek przeciwko nudom podczas pobytu na letnich mieszkaniach w krajowych zakładach kąpielowych to lawn tenis, za pomocą którego siły fizyczne i zręczność rozwijają się nadzwyczajnie”.

To pierwsze świadectwo, że Polacy swój tenis mają. Z czasem pojawiły się także podręczniki do gry, sklepy ze sprzętem i wytyczone place, dzięki czemu rozrywka dla kuracjuszy stawała się sportem dla wycynowników. W całym kraju, zwykle przy klubach cyklistów i łyżwiarzy, powstawały sekcje tenisowe. W sierpniu 1921 roku przedstawiciele tych najprężniejszych – AZS Kraków, AZS Warszawa, KS Czarni Lwów, Łódzkiego Lawn Tennis Klubu, Koła Tenisowego z Torunia, WKS Lublin, KS Warta Poznań, KS Union Poznań i AZS Poznań – powołali do życia Polski Związek Lawn Tenisowy. Na siedzibę wybrano mocny organizacyjnie Poznań, tam też od razu odbyły się pierwsze mistrzostwa kraju.

Prezesem został 26-letni (!) Zdzisław Szulc. Ciekawa postać. Mimo młodego wieku miał spore doświadczenie: jeszcze pod zabo-

dowego w Poznaniu, gdzie Szulc pełnił zresztą dożywotnio funkcję kustosa. Był też prekursorem koncertów sylwestrowych, których tradycja trwa do dziś.

W pionierskich czasach co rok, to przetom. W 1923 r. PZLT stał się członkiem Międzynarodowej Federacji Tenisowej. Rok później miał wysłać zawodnika na igrzyska olimpijskie w Paryżu, ale niepokonany wówczas Edward Kleinadel obraził się o jakąś błahostkę. W 1925 roku reprezentacja debiutowała w Pucharze Davisa. Mecz – decyzją Szulca – odbył się już w Warszawie, gdzie „dla dobra społecznego” przeniesiono też siedzibę związku. Nowym prezesem wybrano warszawiaka Edwarda Millera. Prezesura trwała wówczas rok (dopiero po wojnie stała się dwuletnia, wreszcie – wraz z cyklem igrzysk olimpijskich – czteroletnia). Na początku lat trzydziestych, gdy związek borykał się z problemami finansowymi, by zapewnić mu odpowiednie wsparcie, na szefów PZLT powoływano osobistości ze sfer rządowych: Ignacy Matuszewski był ministrem skarbu, Marian Szumlakowski dyrektorem gabinetu Rady Ministrów, a Jerzy Gąsiorowski – szefem Sztabu Głównego. Ale to były funkcje reprezentacyjne – czarną robotę i tak wykonywał Miller.

Grunt, że tenis się rozwijał. Pod koniec lat dwudziestych istniały 44 kluby, na początku trzydziestych – już 86! W głównej mierze

**POD KONIEC LAT DWUDZIESTYCH
ISTNIAŁY 44 KLUBY, NA POCZĄTKU
TRZYDZIESTYCH – JUŻ 86**

rami działał w Związku Polskiej Młodzieży Tenisowej i Związku Tenisowym Młodzieży Poznańskiej, które uczyły rówieśników tenisa i patriotyzmu. Organizował też pierwsze w kraju powojenne turnieje o mistrzostwo Wielkopolski. W 1922 roku podarował nawet własną ziemię pod korty poznańskiego AZS, z którym był długo związany. Szulc dowodził również, że nie samym tenisem człowiek żyje: z zawodu był kupcem, z zamiłowania kolekcjonerem instrumentów muzycznych i prekursorem polskiego lutnictwa. Pokłosiem jego podróży po Europie i Bliskim Wschodzie była imponująca kolekcja ponad 120 instrumentów, która – cudem ocalała w czasie wojny – stała się częścią zasobów Muzeum Naro-

to zasługa znakomitych występów Jadwigi Jędrzejowskiej i Ignacego Tłoczyńskiego. Związek w tym czasie układał coroczne listy zawodników, jeśli było trzeba, potrafił ich dyskwalifikować. Wydawał podręczniki i okólniki. Organizował turnieje i mecze pokazowe – to dzięki niemu w Polsce zagrali legendarni Henri Cochet i Bill Tilden. Na mecz z Tildenem specjalne pozwolenie od PZLT musiał dostać Tłoczyński, bo z zawodowcem nie wolno było ot, tak krzyżować rakiet. Nieco później Amerykanin proponował dołączenie do jego trupy samej Jędrzejowskiej, ale ta honorowo odmówiła – w końcu otrzymywała od związku wsparcie, choć nieregularne, w finansowaniu treningów. W 1937 roku PZLT

przyznał jej nawet tytuł mistrzyni Polski, chociaż w stosownym turnieju nie startowała – tak wielką miał władzę! Ale związek dbał też o młodych: najlepszym organizował obozy kadry, a także wyjazdy na turnieje do Wejherowa, Juraty, Bielska czy Ciechocinka.

Po wojnie PZLT stał się swojskim Polskim Związkiem Tenisowym. W latach 1945-1947 miał siedzibę w Krakowie, by powrócić do odbudowanej już Warszawy. Wkrótce znów nadeszły ciężkie czasy – w 1950 roku państwo ludowe zamieniło PZT, podobnie jak wszystkie związki sportowe, w zwykłą sekcję. Został reaktywowany po „odwilży”. Cóż z tego, skoro cały okres wczesnego PRL-u nie był dla tenisa udany, bo dyscyplina kojarzona z arystokracją i burżuazją nie zyskała nigdy przychylności władz. Tym bardziej dziwią sukcesy Wojciecha Fibaka, któremu bardziej przeszkadzano, niż pomagano. To za jego przykładem ludzie chwycili za rakiety.

Kto stał na czele związku – zawodnik, polityk czy anonimowy urzędnik – nie miało wtedy większego zna-

czenia. Na szczęście na drugim planie zawsze znajdowało się grono prawdziwych pasjonatów: wieloletni wiceprezes Kordian Tarasiewicz, etatowy wręcz członek zarządu Stanisław Briesemeister czy kierująca biurem Helena Tłoczyńska.

**PO 1989 ROKU
NIE OD RAZU
WSZYSTKO BYŁO
JAK TRZEBA,
BO TENIS TEŻ
MUSIAŁ
OKRZEPNĄĆ
W NOWEJ
RZECZYWISTOŚCI**

Po 1989 roku też nie od razu wszystko było jak trzeba, bo tenis musiał okrzepnąć w nowej rzeczywistości. Z czasem udało się jednak stworzyć dobre turnieje w Warszawie oraz Sopocie i doprowadzić do popisania umowy ze sponsorem strategicznym związku, firmą Prokom Software SA. Związek finansował starty i treningi zawodników, angażował się w akcje społeczne, nawet przeniósł siedzibę do kamienicy na ul. Frascati, gdzie nie ma windy, więc kondycja jest jak najbardziej na miejscu. Do szczęścia brakowało tylko sukcesów, ale umiejętne wykorzystanie pieniędzy od sponsora, przekazywanych na szkolenie także najmłodszych, wreszcie przynosi owoce – jak ostatnie wyczyny Agnieszki Radwańskiej. Co prawda do sukcesów Jędrzejewskiej jeszcze jej daleko, ale w Polskim Związku Tenisowym mówią, że prawdziwy wysyp talentów ma być za kilka lat. Akurat na 90-lecie. ■



Rozkwit kariery Władysława Skoneckiego przypadł na trudne lata 50.



Wojciech Fibak – to za jego sprawą Polacy chwycili za rakiety

TUŻ PRZED
FINAŁEM
ORANGE
PROKOM
OPEN CZAS
NA KORTACH
SKT COFNAŁ
SIĘ O WIEK.
WIDZOWIE
OBEJRZELI
MECZ RETRO



Sopot, początek XXI wieku... a może lata 20. XX wieku? Lech Sidor, Ola Gorzelak, Magda Grzybowska i Krystian Pfeiffer

SERWIS I PORCELANA

MAGDA GRZYBOWSKA: Stroje zaskoczyły mnie na plus, jeżeli chodzi o wygodę. Długie suknie nie krępowały ruchów, nie podwiewał ich wiatr. Mankamentem była mało przewiewna tkanina – po drugim gemie byłam spocona jak królik. Chłopcy w kaszkietach i kamizelkach też przecierali spocone czoła. Rakiety były ciężkie, wyposażone w owijki i naciąg tylko w teorii. Przy graniu jednoręcznego bekhendu, który ćwiczyliśmy przed meczem, można było stracić równowagę. Pod koniec gry finaliści męskiego turnieju w Sopocie już wybierali nogami żeby wejść na kort, tymczasem w naszym meczu nikt nie chciał przegrać... A tie-breaków wtedy nie było.

OLA GORZELAK: Niby zabawa, niby mecz „na niby”, a jednak z kortu chciało się zejść z tarczą. Szczególnie ambitnie podeszła do tego spotkania męska połowa naszego miksta. Co do strojów, to nie wiem, jak kobiety mogły się poruszać w takich sukniach! Dobrze, że przynajmniej butów na obcasach nie trzeba było nosić.

Najwięcej radości mieliśmy w trakcie przerwy na herbatę, którą podano w czasie meczu. Nikt z nas nie wiedział o tej części scenariusza, mieliśmy więc miłą niespodziankę.

WYNIK: Miss Grzybowska/Sidor – Mrs. Gorzelak/Pfeiffer 7:5

{8} przedwojenna opowieść



NIEWAŻNE

BEZCENNE

WSPOMNIENIA

TRAKTOWANO MNIE ŻYCZLIWIE,
ALE BYŁEM TEŻ BARDZO CZUJNIE
OBSERWOWANY NA KORCIE
I POZA NIM



{ Z Bohdanem Tomaszewskim
rozmawia Bartosz Klimas }

Kiedy po raz pierwszy zobaczył Pan tenis?

Bohdan Tomaszewski: Kiedy miałem 7-8 lat i byłem na wakacjach w podwarszawskim Konstancinie. Już wtedy była to szalenie elegancka miejscowość i w tamtejszym parku były dwa korty. Właściwie to najpierw usłyszałem tenis. Usłyszałem dziwny odgłos. Podszedłem bliżej i zobaczyłem dwóch panów odbijających piłkę przy pomocy dziwnego przedmiotu.

A kiedy pierwszy raz Pan zagrał?

Też w Konstancinie! Uczestniczyłem w turnieju zorganizowanym przez grupę starszych chłopców. Graliśmy drewnianymi packami – wtedy pierwszy raz miałem taką packę w rękę – na korcie, który był wąską ubitą alejką między drzewami, nad którą ci chłopcy przeciągnęli sznurek. Mieliśmy dwie używane piłki. A że najpierw

przegrywałem na jej oczach, biegłem do domu i rozpaczam. Ale rok później dochodzę do finału, w którym pokonuję brata.

Wtedy zapragnął Pan grać wyczynowo?

Wszystkie te nasze gry obserwował oficer Wojska Polskiego, kapitan Antropow, który miał kontakty z elitarnym klubem WKS Legia. Powiedział o mnie komu trzeba i dzięki tej jego protekcji zostałem przyjęty.

Jest 1936 r., koniec roku szkolnego. Przychodzę na Legię przeprowadzony przez mamę, której nie pozwalałem wejść na teren klubu – przez dwie godziny musi spacerować wokół. A mnie bierze w obroty wicemistrzyni Polski Helena Łuniewska. Rozgrywa ze mną półgodzinną partię. Nic nie mówi, wszyscy szepczą i wreszcie przychodzi do mnie kapitan Stanisław Ożga, opiekun juniorów i młodzików Legii. „W porządku, proszę przychodzić na treningi” – mówi. Tak wchodzę w świat tenisa, do Legii, w której grali Jadwiga Jędrzejowska, Ignacy Tłoczyński, Ernest Wittmann...



odbywały się treningi, organizator turnieju – najstarszy z nas, miał może 16 lat, ja 11 – zorientował się, że nieźle odbijam i tak wylosował, że wpadłem na głównego faworyta. Musiało być nas ośmiu, bo od razu odbyły się ćwierćfinały – przegrałem 2:6, 3:6.

Jednak porażka Pana nie powstrzymała.

Kilka lat później zamieszkałem w domu spółdzielczym, który – obok boiska do siatkówki i koszykówki – miał także kort tenisowy dla mieszkańców. Sto mieszkań, kilkudziesięciu chłopców. Pewnego dnia nasze rodziny organizują turniej dla mieszkańców – przegrywałem w I rundzie ze starszym bratem Januszem, który później zostaje pierwszym zwycięzcą tych naszych mistrzostw. Obaj kochamy się w tej samej dziewczynie – Zosi – więc kiedy

Rozpoczęło się jedno z moich najpiękniejszych chłopięcych wspomnień – codziennie po szkole biegłem na korty Legii. Traktowano mnie życzliwie, ale byłem też bardzo czujnie obserwowany na korcie i poza nim – w bufecie, podczas wspólnych posiłków, rozmów... To była jeszcze jedna lekcja zachowania, poza domem i szkołą.

Zdarzały się kłopoty wychowawcze?

Przed wojną były dwa ważne turnieje dla młodzieży – Puchar Młodych rozgrywany w stołecznym klubie WLTK na Agrykoli oraz turniej na kortach łódzkiej WIMY (Widzewskiej Manufaktury), który był nieoficjalnymi mistrzostwami Polski juniorów i młodzików.

Do Łodzi pojechałem po raz pierwszy w 1936 roku jako junior Legii – miałem wspaniały klubowy sweter i myślałem „och, co to nie ja!”... I przegrałem w pierwszej rundzie z juniorem z prowincji ☑



Witoldem Zalewskim (późniejszym pisarzem). Bałem się pokazać w klubie. Przyjęli mnie jednak bardzo życzliwie, klepali po ramieniu, ale mówili: „Bracie, ty się jeszcze musisz dużo nauczyć”. Rok później wracam do WIMY i wygrywam mistrzostwa, bijąc m.in. brata Władysława Skoneckiego – Henryka. Jednak podczas tego turnieju w pewnej chwili zachowuję się skandalicznie. W półfinale, kiedy w porę nie ma zmiany piłek, krzyczę: „Co to za bałagan w tej WIMIE!”. Nikt nic nie mówi, ale po wszystkim prezes łódzkiego klubu bierze mnie na bok i mówi: „Panie Bohdanie, zdobył pan puchar, ale zachował się pan w sposób niedopuszczalny”.

Dziś Pan sam organizuje podobny turniej i może obserwować zachowanie młodych tenisistów.

Atmosfera na tym moim, istniejącym od blisko czterdziestu lat turnieju jest już inna – świat jest inny, więc inni są też chłopcy, inne dziewczęta. Teraz wszyscy kalkulują. My nigdy nie myśleliśmy o pieniądzach, tylko o satysfakcji. Chociaż przyznaję, ja też raz złamałem prawa amatora.

Miałem w klubie kolegę, Lubomira Czajkowskiego, przez pewien czas graliśmy nawet wspólnie debła. Pewnego razu zabrał mnie ten „Lubczyk” (tak go przezywaliśmy) do Żywca i namówił, byśmy przez dwa tygodnie trenowali córkę miejscowego fabrykanta, która oczywiście nie umiała w ogóle grać. Za ten pobyt otrzymaliśmy, zdaje się,

30 złotych. To jedyne pieniądze, jakie zarobiłem na grze w tenisa. To był skandal. Kupiłem sobie za to buty i rakietę – „Maxplya”.

Jak wspomina Pan przedwojennych działaczy PZLT?

Zetknąłem się z wieloma wybitnymi ludźmi, m.in. panem Aleksandrem Olchowiczem, który faktycznie kierował związkiem w latach 30., bo prezesami bywali ludzie bardzo wysoko postawieni. Olchowicz był człowiekiem pełnym energii. To on decydował o składzie reprezentacji na mecze Pucharu Davisa i siedział na krzeselku podczas pojedynków. Był jak przybrany ojciec, czy może wujaszek, dla Jadzi Jędrzejowskiej, Ignasia Tłoczyńskiego, Czesława Spychały. Był uwielbiany, można powiedzieć, że był „Zagłobą polskiego tenisa” – gruby, szalenie dowcipny, ale i niezwykle przebiegły. Miał instynkt, umiejętność fortelu – czasem potrafił tak ustawić naszych graczy, że wygrywali z lepszymi od siebie.

Co ważne, tenis wcale nie był sportem burżuazyjnym, jak zwykle się mówił po drugiej wojnie. Obok osób z najwyższych sfer, jak Stanisław Czetwertyński, w tenisa grała przecież Jadzia Jędrzejowska, która była córką kortowego z Krakowa. Tłoczyński i Spychała także pochodzili z bardzo biednych rodzin i to właśnie tenis ich wychowywał. Spychała został ściągnięty do WLTK, czyli klubu zaprzyjaźnionego, stojącego o miedzę, ale i konkurencyjnego dla Legii, gdzie prezese- sem był książę Seweryn Czetwertyński. Działał tam pan Kazimierz



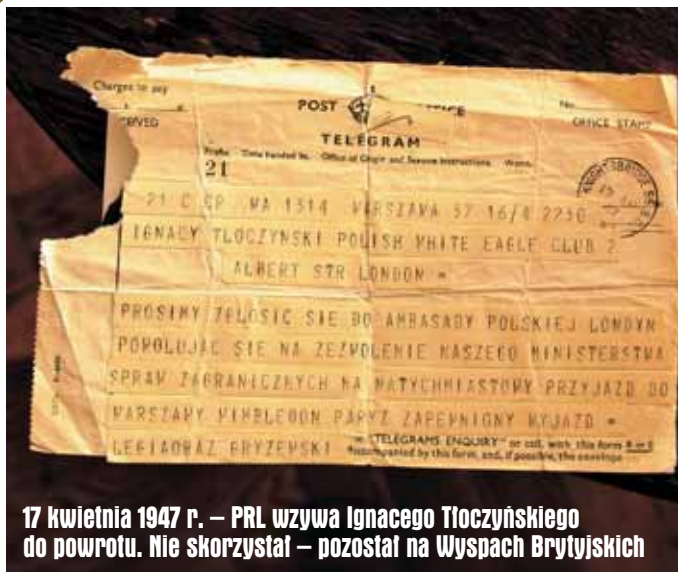
Bohdan Tomaszewski: Turniej okupacyjny w Konstancinie. Nagrodą za zwycięstwo był puchar – który później splotał w czasie powstania – i zaszczyt pokazowej gry z Ignacym Tłoczyńskim. Przegrałem 0:6, 2:6, a Ignacy pogratulował mi i przyznał, że bardzo chciał mnie „puścić do zera”

Wasilewski, który natychmiast posłał Spychałę do szkoły oraz na lekcje angielskiego i ten w ciągu 2-3 lat z prostego chłopaka stał się niemal bywalcem salonów.

Jak polski tenis stał wtedy w Europie?

Szedł bardzo ostro do góry – Ignacy Tłoczyński, lwowiak Józef Hebda, Czesław Spychała, Ernest Wittmann, Kazimierz Tartowski, Przemysław Warمیński z Poznania, a w 1938 r. przyjechał z Austrii Adam Baworowski, więc mieliśmy grupę bardzo dobrych graczy europejskich. W 1938 roku zdobyliśmy nawet Puchar Europy Środkowej, w którym obok Polski uczestniczyły Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Austria, Włochy i Jugosławia.

Każdy ze wspomnianych graczy był inną osobowością. Hebda to natchniony artysta – jak miał swój dzień, grał arcyfinezynie, porywająco, ale to nie zdarzało się często – był nierówny. Tartowski – niezwykle silny, mówiliśmy na niego Tarzan, ale jednostronny, miał tylko forhend z głębi kortu. Spychała to znów piękny tenis, za to nadmierna pobudliwość – jeden cudowny set, a później trzy słabe – nie umiał wygrywać.



17 kwietnia 1947 r. – PRL wzywa Ignacego Tłoczyńskiego do powrotu. Nie skorzystał – pozostał na Wyspach Brytyjskich

Z PERSPEKTYWY LAT WIDZĘ, JAK WIELE WYGRANYCH, WYDAWAŁOBY SIĘ, MECZÓW PRZEGRZAŁEM. BRAKOWAŁO MI ODPORNOŚCI PRZY MECZBOLU. TO ODCISNĘŁO SIĘ NA MOIM SPOJRZENIU NA SPORT – WIEM, CO TO JEST PORAŻKA. MOŻE DLATEGO CZASEM ZARZUCANO MI, ŻE ZBYT WIELE MÓWIĘ O POKONANYCH

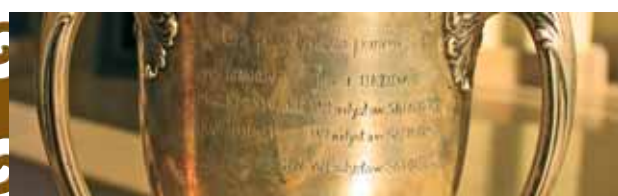
Wittmann – nieprzeciętna regularność z głębi kortu, grał lifta z forhendu i z bekhend. Baworowski – typowy deblista: większość piłek odgrywał z półkortu i przy siatce, miał dobry serwis i wspaniałe woleje.

A Tłoczyński? Był Pańskim wzorem?

Tytan pracy. Kiedy przychodziłem na kort, on już ćwiczył serwis – przez 45 minut trafiał w pudełko od papierosów. Później miał świetne podanie, jak na swój wzrost – nie był wysoki. Grał dobrze z głębi kortu, miał zabójcze passingszoty i był niesamowicie waleczny, zacięty...

W 1939 roku dotarł do ćwierćfinału Roland Garros, gdzie przegrał w czterech setach z Amerykaninem Bobbym Riggsem, który w tym samym roku zdobył trzy tytuły mistrza Wimbledonu (w grze pojedynczej, podwójnej i mieszanej). Do tego dochodzi pamiętny mecz w Pucharze Davisa z Niemcami, rozegrany w maju 1939 roku w Warszawie, kiedy Tłoczyński pokonał Hennera Henkla – 2. tenisistę świata – i Rodericha Menzla, klasyfikowanego w okolicach 6.-7. miejsca w światowym tenisie. Po tych sukcesach został rozstawiony z nr. 8. w Wimbledonie. A już w czasie wojny doszły nas słuchy, że Ignacy znalazł się w czołowej dziesiątce światowej listy klasyfikacyjnej. Ale to była wiadomość nieoficjalna. ➡

Puchar Narodowych Mistrzostw Polski z lat 1945–1948 wykupiony w antykwariacie przez czujnego pracownika PZT





Muskieter Jean Borotra i Józef Hebda, lata 30.

pomiędzy tenisem kobiecym i męskim była wtedy znaczna – jako obiecujący junior toczyłem z Jędrzejowską bardzo zacięte mecze. Wykorzystywałem jej braki w bieganiu.

I w końcu, latem 1939 roku, Aleksander Olchowicz podszedł i zapowiedział, że dołączy mnie w 1940 r. do wiosennego wyjazdu kadry na Riwierę Francuską – byłem nieprzytomny z radości.

W 1940 roku znalazł się Pan jednak w zupełnie innym miejscu.

Zawodnicy kadry, którzy byli w Warszawie – Ignacy i Ksawery Tłoczyńscy, Czesław Spychała i ja dołączony do tej kadry – mieli kilka razy w tygodniu tajne treningi, a oprócz tego rozgrywaliśmy – znów w Konstancinie – turnieje. Wszyscy byliśmy w AK i w końcu ktoś zapytał: „Jest wojna, a my gramy w tenisa?”. Wtedy Ignacy odparł: „Tak, bo po wojnie, jeśli przeżyjemy, będziemy potrzebni polskiemu tenisowi”. To była jego filozofia. A kiedy nie graliśmy, przenosiliśmy broń i prasę podziemną. Tłoczyński był szefem – niósł niebezpieczny ładunek – a Jerzy Gottschalk i ja pełniliśmy rolę jego obstawy.

TE WSZYSTKIE WSPOMNIENIA, TAK MAŁO
WAŻNE, SĄ DLA MNIE BEZCENNE, BO TO SĄ
MOJE NIGDY NIE SPEŁNIONE MARZENIA
O TYM, ŻE BĘDĘ KIEDYŚ WYBITNYM
TENISISTĄ

Pan tymczasem walczył, by dołączyć do najlepszych w kraju.

Moja dobra gra była zasługą Adama Baworowskiego, który co rano zapraszał mnie na korty, nie zdając sobie sprawy, że wciąż jestem uczniem. Rakiety miałem na kortach, więc szedłem jak gdyby nic, tylko z teczką. A potem siedziałem na drugi rok w tej samej klasie.

Baworowski zaproponował mi cudowny system gry – wszystkie piłki poza returnem musiał odgrywać z powietrza. Dzięki temu czasem wygrywałem z nim seta, a on był zadowolony, bo trenował wolej.

Grywał Pan też z Jadwigą Jędrzejowską.

Ona również nabrała towarzyskiego szlifów dzięki tenisowi. Na korcie jej siłą był forhend – kto wie, czy to nie na jego widok prasa angielska użyła po raz pierwszy określenia „drajw”. Jadzia nie miała dobrego woleja, grała za to fenomenalny dropszot, taki jak dziś Hiszpanie.

Miałem szczęście z nią grywać, bo był zwyczaj, że najlepsi brali nas, juniorów, na trzy kwadranse na kort centralny. Różnica

Adam Baworowski, Jerzy Gottschalk i Przemysław Warmiński nie przeżyli wojny. Ignacy Tłoczyński pozostał w Wielkiej Brytanii. Pojawili się nowi rywale.

Kiedy jeszcze w 1936 roku po raz pierwszy grałem w turnieju na kortach WIMY, spostrzegłem małego blondynka – talent najczystszej wody. – Kto to jest? – pytam. – Władek. – Skąd? – Z Łodzi. Tak zobaczyłem Władysława Skoneckiego. On od razu był „Samprasem”. Nigdy z nim nie wygrałem. Przegrałem wiele razy, między innymi już po wojnie, w ćwierćfinale międzynarodowych mistrzostw Polski w Katowicach. Jednak dzięki temu ćwierćfinalowi, a także dzięki zwycięstwu w ogólnopolskim turnieju nad Józefem Piątkiem, wtedy reprezentantem Polski w Pucharze Davisa, znalazłem się w 1947 roku w czołowej dziesiątce klasyfikacji polskich seniorów. Pierwszy był Hebda, drugi Skonecki... ja byłem ośmy, może dziewiąty.

A potem porzuciłem tenis, zacząłem palić i zająłem się dziennikarstwem. ■

**ZGODNIE Z REGULAMINEM NIE
ZOSTAŁ OBYWATEL ZWERYFIKOWANY
W PRAWACH CZŁONKA SEKCJI
TENISOWEJ**

CYRK BEZ NAMIOTU

{ Kordian Tarasiewicz }

Po zakończeniu działań wojennych PZLT zostaje w 1945 roku reaktywowany w Krakowie jako PZT. Pierwszym prezesem nowego związku w nowej Polsce zostaje przedwojenny wychowawca tenisowej młodzieży Aleksander Olchowicz – ten sam, który przed laty zapisał się jako opiekun i wychowawca młodego Ignacego Tłoczyńskiego. Rok później jego miejsce zajmuje lwowski działacz Bronisław Waydowski, a sam Olchowicz zatrzymuje godność prezesa honorowego. W 1948 roku kolejna, jakże symptomatyczna zmiana – stanowisko prezesa obejmuje generał Piotr Jaroszewicz, późniejszy premier PRL. Jednak nawet on nie jest w stanie uchronić PZT od losu, jaki na początku lat 50. spotkał wszystkie związki sportowe – Polski Związek Tenisowy zostaje zamieniony w sekcję przy Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Turystyki. Oznacza to pozbawienie samodzielności i przerwę w życiorysie organizacji. Na domiar złego w latach 1952-1955 PRL rezygnuje z udziału w rozgrywkach o Puchar Davisa. Czarna dziura w życiorysie. Nowe porządki zaprowadza się również w klubach. Do dziś mam dokument następującej treści: „Komisja Weryfikacyjna CWKS Legia zawiadamia, że zgodnie z regulaminem nie został Obywatel zweryfikowany w prawach członka sekcji



W 1960 roku Andrzej Licis stoczył w Roland Garros sensacyjny pięćsetowy mecz z Rodem Laverem. I postanowił zostać w Paryżu

tenisowej. W związku z powyższym z dn. 19 X 1950 traci Obywatel dotychczasowe prawa członkowskie”. Prawa te przywrócono mi dopiero po październikowej odwilży w 1956 roku.

W tym samym roku do kraju wraca Władysław Skonecki, który w 1951 roku wybrał wolność i pozostał w Szwajcarii po meczu o Puchar Davisa. Skonecki wrócił do reprezentacji Polski, ale najpierw złożył samokrytykę. W sekcji tenisowej Legii odbyło się zebranie, podczas którego tenisista musiał wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Emocje były tak wielkie, że w pewnym momencie rozplakał się.

W 1957 roku prezesem, po kolejnej już reaktywacji PZT, zostaje Andrzej Majewski. I to dzięki niemu mogliśmy zaobserwować w Polsce tenisowe świadectwo politycznej odwilży – nowy prezes doprowadził do przyjazdu Cyrku Kramera, zawodowej grupy tenisistów ze słynnym Australijczykiem Kenem Rosewallem na czele. Mecz odbył się na kortach Skry, zainteresowanie było ogromne, choć chyba nie wszyscy wiedzieli, na co kupili bilety – tak jak państwo, którzy szli wtedy obok mnie i głośno zastanawiali się: „A gdzież jest ten namiot cyrkowy?”.

O tym, że odwilż też ma swoje granice, przekonaliśmy się już trzy lata później, kiedy kolejny polski tenisista zechciał zamieszkać poza granicami kraju – w 1960 roku Andrzej Licis postanowił rozpocząć studia we Francji i odmówił powrotu z turnieju Roland Garros. Dyskwalifikacja była natychmiastowa.

Na rehabilitację Licisa musieliśmy czekać aż do lat 90., czyli do czasu, kiedy cały polski tenis zaczął wracać do normalności. Tymczasem rozpoczynały się dopiero lata 60. ■

*Autor był członkiem
Zarządu PZT w latach
1961-1972 i 1980-1989*